



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janina Hawryłkiewicz

Lata głodu i poniewierki

Od kilku pokoleń losami mojej rodziny kierowały kolejne wojny. Mój pradziadek, mający swoje korzenie gdzieś na Białostoczczyźnie, w wyniku różnych zdarzeń w 1914 roku znalazł się w okolicach Wilna. Następne zawirowania w latach 1917-1918 wypchnęły moich pradiadków poza granicę Polski – do Borysowa koło Mińska na Białorusi. W 1920 roku wojska polskie wkroczyły do naszego miasta. Żołnierz z Legionów miał romans z moją babcią, w wyniku czego urodziła się moja mama. Legionista musiał wrócić do kraju, a moja babcia została z dzieckiem sama. Przez długi czas przeżywała ogromny dramat – zawiedziona miłość, wstyd i poniżenie (panna z dzieckiem była wówczas hańbą dla całej rodziny). Pradziadkowie jak tylko nadarzyła się okazja wydali ją za mąż za człowieka pracowitego, sumiennego, ale bardzo oschłego. W krótkim czasie moja mama miała dwie przyrodnie siostry. Ojczym niezbyt łaskawym okiem spoglądał na pasierbicę, miała więc trudne dzieciństwo. Bywała głodna i poniewierana.

Obok nieudanego życia małżeńskiego babci był też problem polskości i wiary. Mój przyszywany dziadek był wyznania prawosławnego, a rodzina babci od pokoleń polska i katolicka. W tamtym czasie i w tamtym miejscu bycie Polakiem i katolikiem oznaczało kogoś gorszego od tutejszych, człowieka drugiej kategorii. Babcia zgodnie ze swoimi przekonaniem dzieci posyłała do polskiej szkoły – mimo oporów dziadka.

W bardzo młodym wieku moja mama wyszła za mąż. Ojciec przywędrował do naszego miasta uciekając z głodującej Ukrainy. W 1937 roku urodziłam się ja, a dwa lata później moja siostra. Na krótko przed wojną zamieszkaliśmy w domu babci. Była to dość liczna rodzina – babcia z dziadkiem, dwie ciotki i nas czworo.

Pierwszy dzień wojny pamiętam do dziś, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to właśnie zaczęła się wojna. Było lato 1941 roku. Bawiłam się z siostrą na podwórku. Po niebie zaczęły krażyć samoloty, najpierw jeden, a za chwilę było ich kilka. Przyglądałyśmy się im z zaciekawieniem, bo przedtem nie widziałyśmy ich tyłu naraz. Nagle nasze obserwacje przerwało jakieś turkotanie i bzykanie. Babcia bardzo zdenerwowana zagoniła nas do domu, mówiąc wielkim głosem, i stała się rzecz straszna – rozpoczęła się wojna. Ja niewiele sobie wzięłam do głowy nakazy babci – chwila jej nieuważności i znów byłyśmy na podwórku. Stałyśmy pod ścianą domu i obserwowałyśmy walkę samolotów. Na niebie srebrzyste ptaki wypuszczały jakieś dymki, po czym te z drugiej strony stawały w płomieniach i opadały. Bardzo nam się podobała ta „zabawa” samolotów na niebie.

W krótkim czasie po tych powietrznych walkach wróciła z pracy mama. Była bardzo przejęta tym, co się stało, przytulała nas i płakała mówiąc, że ojca na pewno na wojnę zabiorą. Tego samego dnia ojciec

musiał stawić się we wskazanej jednostce wojskowej. Pożegnanie było krótkie i pospieszne, bo czas naglił. Zaczęło się okropne zamieszanie, bo nie wiadomo było co robić dalej, niepewność i strach zawładnęły całą rodziną. Dziadek po namyśle zaczął robić ziemiankę. W ogrodzie wykopał wielki dół, postawił jakieś słupki, a na to deski, a wszystko to przykrył pierzynami, poduszkami, na wierz położył wycięte gałęzie drzew owocowych. Miało to nas ochronić przed pociskami z samolotów.

Na noc przenieśliśmy się do przygotowanego schronu. Obie z siostrą nie bardzo rozumiałyśmy po co to całe zamieszanie i zdenerwowanie dorosłych i dlaczego nie możemy spać w domu. Wielu sąsiadów pokpiwało z dziadkowej ziemianki, uważając to za zbyteczną robotę i twierdząc, że rano wszystko się unormuje. Ledwo przenieśliśmy się do tego schronu, a już zaczął się nalot na pobliskie koszary wojskowe, a niektóre pociski leciały na okoliczne domy i ulice. W nocy przeżyliśmy chwile grozy. Usłyszeliśmy okropny gwizd, następnie huk i naszą ziemiankę przysypała hałda ziemi. Obie z siostrą zaczęłyśmy głośno płakać i krzyczeć z przerażenia. Byliśmy jak w grobie, przysypani ziemią. Było ciemno, ciasno i bardzo duszno. W ogromnym strachu i panice rękami wygrzebywaliśmy się z tej okropnej pułapki. Po dość długim czasie udało nam się uwolnić. Ujrzelśmy obok naszej ziemianki ogromny lej po bombie. Gdyby bomba spadła dwa metry bliżej, wówczas zginęlibyśmy wszyscy. Nasz dom stał bez okien, drzwi i dachu, zniszczony był ogród i parkan. Ogarnęła nas radość z ocalenia i przerażenie z otaczającego obrazu zniszczenia. Wiele z okolicznych domów legło w gruzach, niektóre płonęły, ulicami ciągnęły furmanki załadowane jęczącymi i zakrwawionymi ludźmi. Nad tym wszystkim unosił się swąd spalizny. Tak zapamiętałam pierwsze wojenne dni.

Mój dziadek musiał być człowiekiem słabym psychicznie, bo nie mógł znieść widoku zniszczonego domu, który własnoręcznie postawił. Przez kilka dni snuł się wokół obejścia, a potem zniknął na długie lata, mówiąc, że jedzie do lasu po drzewo na remont. Dopiero w 1958 roku dowiedzieliśmy się, że żyje w okolicach Mińska. W taki to sposób w naszym domu zostały same kobiety: babcia, moja mama, dwie ciocie, ja i młodsza siostra.

W krótkim czasie do naszego miasta weszły wojska niemieckie. Na początku miejscowa ludność była jakby zadowolona z nowej władzy. Niemcy otworzyli kościoły, bo wcześniej były zamknięte. Duża część mieszkańców naszego miasta dopiero wtedy została ochrzczona. Małżeństwa o wieloletnim stażu zawierały śluby kościelne. Ja byłam ochrzczona w wieku pięciu lat. Krótko jednak trwały te pozornie poprawne układy. Na terenie miasta zaczęła działać białoruska partyzantka, zarządzając różnego rodzaju akcje dywersyjne i sabotaże wobec najeźdźcy, a władze hitlerowskie w odwecie dziesiątkowały miejscową ludność – bez względu na winę.

Zapanowała władza okupacyjna, a z nią różnego typu uciążliwości i represje. Jedno z rozporządzeń dotyczyło obowiązkowego oddania domu lub jego części na mieszkanie dla oficerów niemieckich. Wiem z opowiadań babci, że wiązało się to z obawą przed wrogiem, a jednocześnie stanowiło ochronę przed napadami i rabunkami bandyckimi. W mieście zaczęło brakować żywności, opału, często nie było prądu. Sklepy były zamknięte, albo z towarami niezbyt przydatnymi w czasie wojny. Władze okupacyjne wprowadziły kartki żywnościowe, na które i tak niewiele można było kupić. Aby otrzymać kartki, trzeba było podjąć pracę, mama zatrudniła się więc w męskim zakładzie fryzjerskim, a starsza ciocia w jakimś biurze. Babcia zajęła się handlem – chodziła do odległych wsi i u wieśniaków wymieniała różne rzeczy na żywność. Było to bardzo niebezpieczne, zakazane przez władze zajęcie, karane nawet śmiercią. Ale głód pokonuje strach, zmęczenie i ból.

Pewnego dnia przed nasz dom zajechał niemiecki samochód, a w nim kilku żołnierzy. Przerażone myślałyśmy, że to chodzi o babcię, o jej handel, a tymczasem okazało się, że przywieziono do nas na kwatere jakiegoś oficera. Początkowo obawiałyśmy się nieproszonego gościa, bo mogłyby z tego wyniknąć komplikacje dla całej rodziny. Ale okazało się, że jest on hitlerowcem o „ludzkiej twarzy”, odmiennym od stereotypu. Dzielił się z naszą rodziną żywnością, zwłaszcza nas dzieci obdarowywał często łakociami. Niemiecki sublokator przebywał u nas kilka miesięcy. Pewnego dnia po prostu nie zjawił się na kwaterze. Nigdy nie dowiedzieliśmy się z jakiego powodu.

W samym środku wojny, pewnej mroźnej, zimowej nocy ktoś zastukał w okiennicę. Myślałyśmy, że to nocna wizyta partyzantów, którzy przychodzili po żywność. Bardzo się bałyśmy, ale trzeba było otworzyć. O dziwo, na dworze stał mój ojciec. Przyszedł się z nami zobaczyć. Uciekał przed Niemcami. Spotkanie trwało zaledwie kilka minut i odbywało się w całkowitych ciemnościach. Było to ostatnie spotkanie moich rodziców. Ja od tego momentu nie widziałam ojca przez kilkanaście lat. Odnalazł się dopiero w 1957 roku w Czechosłowacji. Miał już nową żonę i syna.

Latem 1943 roku nasza rodzina doświadczyła bezpośrednio represji ze strony hitlerowców – najmłodsza ciocia, która miała zaledwie 14 lat, została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec. Bardzo boleśnie to przeżywałyśmy, a szczególnie ja i moja młodsza siostra. W kilka miesięcy później pozostałą rodzinę spotkał ten sam los. Było to jesienią 1943 roku. Podróż do Niemiec była gehenną. Jechaliśmy w wagonach towarowych, w nich jedliśmy i spaliśmy. Żywności każdy miał tylko tyle, ile mógł zabrać z domu. Dostawialiśmy tylko wodę do picia. W wagonach panował straszny fetor i ciasnota.

Podróż trwała kilka dni. Pierwszym obozem, do którego nas przywieziono był Erfurt. Potem byliśmy przewożeni z obozu do obozu na obszarze Turynгии i Bawarii.

Przyjazd do Erfurtu był strasznym przeżyciem dla naszej rodziny. Nie wiedzieliśmy co z nami zrobią. Chodziły różne okropne pogłoski. Bardzo bałyśmy się, że nas odłączą od dorosłych. Selekcja odbyła się według wieku i płci, ale kobiety z dziećmi pozostały razem. Po kilku dniach przewieziono nas do przejściowego obozu w Eisenach. Zakwaterowano nas w okropnym baraku o dziurawym dachu, bez podłogi. Każda rodzina miała przydzieloną piętrową pryczę. Ja z siostrą spałam na najwyższym piętrze pryczy, pod dziurawym dachem. Mama przybiła jakiś kawałek ceraty nad tym naszym „łóżkiem”. Bardzo często w czasie nocnej ulewy budziłyśmy się zlane lodową kapielą, mokre i zziębnięte. Baraki były nieogrzewane, w kącie stał jeden piec na trociny, do którego mógł się dopchać tylko ktoś silniejszy lub sprytniejszy. Było zimno, wilgotno i prawie ciemno, bo świeciła tylko jedna żarówka. W całym baraku panował zgilek i ścisk, a często wybuchały kłótnie i awantury.

Po kilku tygodniach przewieziono nas do obozu pracy w Schmalkaldeu. Mieściły się tam zakłady zbrojeniowe „Erba”. Zakwaterowano nas w olbrzymich halach fabrycznych. W zależności od liczby osób dana rodzina miała przydzieloną jedną lub dwie piętrowe prycze. Wzdłuż prycz stały długie stoły, a przy nich ławy. Tak wyglądał nasz dom na najbliższe miesiące. Wszystkie kobiety pracowały w fabryce przy aparatach do spawania metalu. Od tej roboty miały popalone ubrania i czerwone oczy. Wyżywienie było mniej niż skromne. Kobieta pracująca otrzymywała dwukilogramowy bochenek czarnego, gliniastego chleba, a dziecko jednokilogramowy. Była to norma na cały tydzień. Dwa razy dziennie dostawaliśmy po kubku czarnej, gorzkiej kawy zbożowej i odrobinę margaryny. Po otrzymaniu tego prowiantu mama dzieliła wszystko na 7 części i widząc jak my patrzymy na ten chleb, oddawała nam swoją porcję. My z siostrą zjadałyśmy ten chleb w ciągu 2 dni. Potem do końca tygodnia nawet go nie widziałyśmy.

Zimą dawano nam zupę z brukwi lub cuchnącej, zepsutej kapusty. Była niezwykle postna, śmierdząca, a zamiast skwarków gdzieś pływały kawałki kartofli. Od wczesnej wiosny do jesieni była zupa z pokrzywy. Głód cierpieliśmy okropny. Aby jakoś oszukać żołądki śliniłyśmy palec i maczałyśmy go w soli, która stała w beczce w kącie hali, a potem piłyśmy duże ilości wody. Jesienią wchodziłyśmy do płynącej w pobliżu rzeki i wylawiałyśmy niesione przez nurt jabłka, które choć nadpsute, smakowały jak najlepsze delikacje. Proceder ten był zakazany, bo nie wolno było wychodzić poza teren obozu. Robiliśmy to bardzo ostrożnie. Jedna grupa wychodziła przez dziurę w ogrodzeniu na polów, a druga grupa stała na czatach.

Wielokrotnie gdy byłyśmy głodne nie do wytrzymania, chodziłyśmy z siostrą do kuchni, do niemieckich kucharek. Tańcząc i śpiewając przed nimi prosiłyśmy o jedzenie. Ale one miały twarde serca – nieraz dostawaliśmy po sucharku albo po jednym gotowanym kartoflu, a najczęściej wypędzano nas bez niczego.

Przerażająca była śmiertelność wśród dzieci. Codziennie rano prawie przed każdą pryczą leżały na ławie zmarłe w nocy dzieci. Mnie i siostrę od głodowej śmierci uratował przyszedły ojczym, który pracował przy wykuwaniu w górach schronów przeciwlotniczych. Z tego względu, że była to bardzo ciężka praca, posiadał on podwójną kartę żywnościową, tzw. „schwerkartę”. Był Polakiem z Poznańskiego, więc mógł otrzymywać paczki od rodziny, do których my nie miałyśmy prawa.

Pomiędzy moją mamą a nim zawiązała się miłość, za którą drogo płacili, ponieważ w obozach kontakty między kobietami i mężczyznami były surowo zabronione. Mama wielokrotnie siedziała za karę w karczerze przez kilka dni, a przyszedłemu ojczymowi ograniczano racje żywnościowe i wstrzymywano pozwolenie na otrzymywanie paczek. Mimo to uczucie ich przetrwało do dziś i zaowocowało sześciorgiem dzieci.

W tym strasznym miejscu, jakby mało było okropnego położenia, głodu, chłodu, poniżenia, my – małe dzieci – musiałyśmy pracować. Przenosiłyśmy skrawki metalu, odpady od produkcji pocisków z hali fabrycznej na dziedziniec. Od tego zajęcia ciągle krwawiły nam ręce. Jednostajność i uciążliwość życia obozowego pogarszały jeszcze naloty samolotów alianckich. Nasiliły się one latem 1944 roku. Do dziś pamiętam przeraźliwy jęk syren zwiastujących nadlatujące samoloty. Na terenie obozu były dwa schrony – jeden wykuty w górach dla przymusowych robotników, drugi z marmurów, o specjalnej konstrukcji, dla Niemców.

W czasie wszystkich nalotów bombowych moja mama nigdy nie schodziła do schronu. Chciała odpocząć. Pewnego razu bombardowanie było szczególnie intensywne. Mama jakby wiedzona instynktem zeszła do schronu. Miała dobre przecucie, ponieważ bomby zniszczyły fabrykę i halę, w której mieszkaliśmy. Wszyscy, którzy pozostali – zginęli. Zburzony został również niemiecki schron, a przebywający tam Niemcy ponieśli śmierć. W naszym skalnym schronie wyleciały drzwi, zgasło światło, kilka osób zemdlło od podmuchu powietrza. Nikt jednak nie zginął. Niemcy upatrywali w tym zdarzeniu sabotaż ze strony robotników budujących schron dla ich administracji. Kilkunastu więźniów zostało powieszonych.

Po zniszczeniu fabryki zostaliśmy przewiezieni do obozu w Koburgu. Tam doczekaliśmy się wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Zapanowała niewypowiedziana radość. Dostaliśmy olbrzymie ilości jedzenia. Wydawało nam się, że otworzyło się przed nami niebo. Mogliśmy wychodzić poza teren obozu, nikt nas nie pilnował. Mieszkaliśmy w czystych, nieprzeludnionych pomieszczeniach. Nas, dzieci, ogromnie ciekawili murzyni służący w armii amerykańskiej i ich brawurowa jazda wojskowymi jeepami. Wielką atrakcją było też witanie przejeżdżających opodal pociągów, z których żołnierze rzucali nam słodczyce – cukierki, ciastka, czekoladki. Po uciążliwej, monotonnej egzystencji w obozie niemieckim, znowu chciało się żyć.

Następnym etapem naszej wędrówki po Niemczech był polski obóz przejściowy w mieście Lauf koło Norymbergi. Zgromadzeni w nim ludzie mieli prawo wyboru: zostać w Niemczech, wyjechać do Ameryki lub do kraju ojczystego. Wielu obozowiczów tworzyło od pewnego czasu pary, które mogli teraz zalegalizować. Niejednokrotnie odbywało się nawet kilkanaście ślubów kościelnych dziennie. Sakramentu udzielał ksiądz na placu, przy polowym ołtarzu. Panny młode w tym dniu chciały ładnie wyglądać, więc kreacje szły ze wszystkiego, co było pod ręką: z gazy aptecznej, prześcieradeł, obrusów. Pamiętam ślub mojej mamy, jak z naręczem polnych kwiatów wzruszona szła z ojczymem do ołtarza. Były to bardzo piękne, wzruszające chwile. W sierpniu 1945 roku urodziło się pierwsze dziecko ze związku mamy z ojczymem – moja przyrodnia siostra Wanda.

W obozie powstała polska szkoła, do której ja również zaczęłam uczęszczać. Jej kierownikiem był nieoceniony dla mnie pan Karpiński, a jego żona uczyła języka polskiego. Pamiętam ich do dziś – sympatycznych, serdecznych, oddanych swojej pracy, jakby spełniali misję.

Dla mnie osobiście miłe i spokojne życie trwało krótko. Przebyty głód, poniewierka dały o sobie znać. Zachorowałam na gruźlicę kości. Groziła mi amputacja lewej nogi. Przypadkiem moim zajął się pewien wojskowy, amerykański lekarz. To jemu zawdzięczam zdrowie, a może i życie. Po trzymiesięcznym leczeniu w wojskowym szpitalu wróciłam do zdrowia. Kilka miesięcy później, mimo agitacji ze strony administracji obozu, ojczym zdecydował się wrócić do Polski, do rodzinnych stron. Przyjechaliśmy do Poznańskiego i zamieszkaliśmy u rodziców ojczyma.

W krótkim czasie odnalazła się babcia, u której wychowywałam się i przebywałam aż do założenia własnej rodziny. Moja młodsza ciocia, która z obozów niemieckich dotarła do naszego rodzinnego miasta, została przez władze skazana na Syberię. Wróciła stamtąd po dziesięciu latach jako wrak człowieka.

Tak skończyły się moje doświadczenia wojenne. Wojna to straszna rzecz i chciałabym, aby przyszłe pokolenia znały ją tylko z podobnych do tej opowieści.